

Włochatka

Poranione, skrwawione słońce mruży serenady ukryte w czerwieni zachodu.
Usta wiatru pachną chlorofilem lub pleśnią.
Staruszka pajęczyna ze starości się trzęsie, a ja łapię w sieci głowy swoje zamyślenia.
Świerki rozpełzają się kłującymi konarami po niebie,
żywicznym wachlarzem chłodzą przestrzeń.
Bezlistne drzewo zagubiło się w wieczorze.
Przygina do ziemi ususzone, martwe dłonie, poskręcane palce rozpościera groźnie.

Włochatka jak kukułka w babcinym zegarze
polowaniem wyznacza godziny nocy.
Prostoliniowym równym lotem bez pośpiechu przepatruje płachtę szerokiego nieba.
Szepty powietrza usypiają obrazy odbite w lustrze wody.
Pyszni się jasnoszara kolista szlara o czarnobrazowych brzegach.
Przywołuję w myślach brązowy grzbiet
i dużą głowę z brudnobiałymi, perłowatymi plamkami.

Na ptasim wybiegu prezentuje nogi – od skoku obficie biało opierzone aż po pazury.
Ciemność kradnie młodym rdzawobrazowe pióra
oraz białe kropki ze skrzydeł i ogonów.
Chłonać świat wszystkimi zmysłami wsłuchując się w terytorialny śpiew samca
z bardzo melodyjnym „hu-hu-hu”, zanurzać się w tajemnicie dzikiej przyrody.
Pławić się w jej pięknie podpartym boską ręką.
Powoli kołyszają mnie jasne plamki na lotce włochatki i leniwie wstający dzień.

W czuprynie sitowia wykluwają się smugi kolorów.
Drzwi świtu otwierają się powoli, grają cienie jak niebieskie anioły.
Napinają się mięśnie starego dębu niczym nabrzmiałe usta budzącego się dziecka.
Włochatka spostrzega kunę wężącą pod drzewem,
dzielnie zasłania otwór dziupli swoją głową.
Kryptyczne ubarwienie tym razem pomaga.
Liście układają się w witraże na powierzchni słonecznych promieni.

Zapaliły się buczyny pulsującą czerwienią, szal mgły próbuje je gasić.
Świerki w sukni żywicznej zieleni nie boją się nocy ani pohukiwań starej sowy.
Słońce resztki nocy wysssało.
Znudzony promień buja się w kolebce cirrusa,
potem pluszcze w bagnistym jezioruku. Skrzydło muchy dynda na pajęczynie,
jakaś tragedia się w tej ciszy wydarzyła.
Uliczką nieba zaczyna wędrować ubrane w chmurę słońce.

Rytmicznie pohukuje samiec. „Pu pu pu” – niesie się wśród drzew,
przysiada na młodniku, toczy się torfowiskiem i rzeczną doliną,
rozbrzmiewa na zrębach i polanach
pełnych kolii rosy na źdźbłach napęczniałych chlorofilem traw.
Wchodzi do dziupli i wychodzi. Powtarza tę ptasią miłosną mantrę.
Nie potrzebuje dzapamali* do zaktywizowania energii. Instykt się odzywa.
Już czeka prezent dla partnerki.

Kwiat wyskakuje do słońca, otwiera się lawinie promieni.
Śpią pisklęta w białych jajach okrytych puchem matki.
Zadufana w swojej piękności ważka
przejrzała się w lusterku jak dziewczyna w szybie wystawowej,
poprawiła wdzięcznie skrzydełka.
Między ziarnami piasku słyszeć ledwo dosłyszalne mruczenie ziemi,
harmonijne w swojej dostojności.

*Dżampila to w hinduizmie 108-koralikowy sznur modlitewny służący do powtarzania mantr.